

Czy Ukraina jest romantyczna?

Sami musicie odpowiedzieć sobie na to pytanie, ja już znam odpowiedź. Jeśli chcecie ją poznać, zapraszam do lektury.

Zaleszczyki to miasto na Podolu położone w głębokim jarze w zakole Dniestru. Z uwagi na swój specyficzny, bardzo ciepły klimat w II Rzeczypospolitej znany kurort ze wspnianymi plażami nad Dniestrem, co roku urządzono tam ogólnopolskie święto winobrania. Po 1939 roku zniszczono plaże i wycięto plantacje melonów i ogrody. Zburzono barokowy ratusz, zdewastowano kościół katolicki, przekształcając świątynię na magazyn nawozów i wyburzono liczne dworki letniskowe.

Z naszej rozmowy w polskim kościele pani, na oko koło 80-ki, opowiedziała nam trochę z tego, jak Zaleszczyki wyglądały przed II wojną. Jej piękna polszczyzna i smutek opowieści mocno nas poruszył. Próbowaliśmy wyobrazić sobie, jak to miejsce wyglądało w innej epoce, rzeczywistości, lekko wyśnionej już przeszłości, gdzie wszystko jest piękniejsze, bardziej jasne, przejrzyste i słoneczne.

Teraz jest to zaniedbane, zniszczone małe miasteczko położone w bajkowym miejscu. I stojąc w zdewastowanym parku z nieużywanym pałacem zdrojowym można zamknąć oczy i wyobrazić sobie nieśpiesznie spacerujące rodziny, które postanowiły tutaj spędzić wakacje kilkadziesiąt lat temu, usłyszeć śmiech dzieci kąpiących się w przepięknym zakolu Dniestru, zakochane pary, które idą na spacer na wzgórze, aby podziwiać panoramę Zaleszczyków. Postanawiamy także to zrobić. Pogoda nie sprzyja, jest pochmurno, deszczowo i chłodno. Łapiemy taksówkę i wsiadamy do zdezelowanej łady z mocno przyciemnionymi (zafiolowanymi) szybami prosząc, aby pan nas zawiózł na wzgórze. Nie odważyliśmy się iść tam na piechotę. Pan taksówkarz mknie po dziurawej drodze, przemierza most, który trzęsie się od ruchu samochodowego. Już wiemy, co nas może czekać na ukraińskich drogach, ale tutaj jednak przeżywamy lekkie zaskoczenie. Nagle skręcamy i mkniemy ostro pod górkę. Hmmm, a droga wzbudza w nas lekkie zastanowienie i obawę - szutrowa, dziurawa, po skosie. Istne Camel Trophy! A pan taksówkarz nawet nie planuje zwolnić. Łapię się nerwowo drzwi, bo pasy nie działają. Z lekka bladzi patrzymy na siebie. Taksówkarz spogląda na mnie z uśmiechem i pyta, a raczej stwierdza:

„Takich dróg nie ma w Polsce, prawda?”

Ja odpowiadam ze śmiechem: „Nie”

Na co on: „Romantika, prawda?”

I w śmiech.

I tak! Ukraina jest romantyczna na tyle, na ile potrafisz znaleźć romantyzm i piękno w dziurawej drodze, w moście, który ma być drogowy, a okazuje się ledwo trzymająca się kładką drewnianą w stylu Indiany Jones’a. Tak, Ukraina jest romantyczna na tyle ile potrafisz się otworzyć na inną rzeczywistość, o której już zapewne zapomnieliś, na tyle, na ile potrafisz zaakceptować to, że nie zawsze będzie tak, jak byś chciał, życzył sobie. Jest romantyczna na tyle, na ile potrafisz uruchomić wyobraźnię, aby zobaczyć to miejsce, jak mogło wyglądać 100, 300, 500 lat temu.





Pakując rzeczy do Zygobusa tego jeszcze nie wiedzieliśmy. Jedyne pytanie jakie powstało w mojej głowie nie ocierało się o „Romantykę”, a li i jedynie o to, jak my się spakujemy...



Poradziliśmy sobie i radośnie pomknęliśmy w ten słoneczny piątkowy wieczór nach Ukrainen. 9 śmiałków, którzy po drodze przejęli jeszcze niezbyt śmiałą uczestniczkę wyprawy- Anię, lat 12. Wszyscy zastanawiali się wtedy zapewne, jak ona z nami wytrzyma. W sumie nie miała wyjścia. Wytrzymała ☺

Mkniemy przez Polskę pogrążoną we śnie, my też przysypiamy, na szczęście Zygmunt czujny jak zawsze, a Bogusia dzielnie go pilotuje i zabawia jak zawsze pełną uroku rozmową. Kiedyś sobie nawet romantycznie z przodu śpiewali ☺

I wreszcie dojeżdżamy, my dzieci rozpuszczone przez Schengen w zderzeniu z reliktem, który już zaginął w oparach naszej niepamięci- Kontrola Graniczna, Cło, dziwne Kartki, których nikt nie czyta, uśmiechanie się do Pań/Panów w mundurach, zakazy wychodzenia z samochodu, Zastanawianie się, czy już można uzyskać pozwolenie na pójście do toalety.

I czeka nas Szok i Zaskoczenie. Granicę „robimy” w 45 minut, ale nic w przyrodzie nie ginie. Oddamy ten dług zawiązką w drodze powrotnej, z poważną zawiązką...

Ale już jesteśmy, już widzimy nowy asfalt wylany na Euro 2012, już zaznajamamy się z asortymentem wiadomym... Nie wiemy jeszcze, że li i jedynie do Lwowa pomkniemy po dobrze nam znanym niedziurawym asfalcie. Bo za Lwowem... Bo za Lwowem Zygobus już powoli i godnie jedzie, a przyczepka z kajakami za nim. Naszym celem jest Sataniw nad rzeką Zbrucz, gdzie pierwszy biwak, pierwsze namiotów rozbijanie.

Ale droga jeszcze daleka, a Czajka na przyczepce już zmęczona, już ma dość i spada. Po prostu spada i myślimy, że się łamie. Odniosła na szczęście lekkie rany, posklejana przebrnęła przez cały spływ. Czy był to jej ostatni spływ? Początek końca kajaka legendy?

W Satanowie miejscowi pokierowali nas przez bezdroża polne do miejsca wakacyjnego, gdzie już było rozbitych kilka namiotów. Znaleliśmy wolne miejsce i niestety zakłóciliśmy nieco spokój rodzinom z dziećmi.



Pierwszy wieczór oczywiście w oparach szaleństwa nas czeka. Niestety jeden uczestnik wyprawy nie może brać udziału w tym szaleństwie, bo następnego dnia jest na dyżurze i prowadzi Zygobusa przez droża i bezdroża Ukrainy. Tego wieczora byłam to Ja i muszę stwierdzić, że jednak jest to ciekawe przeżycie obserwować szaleństwo innych będąc całkowicie przy zdrowych zmysłach. Piękny wieczór.



Pierwszy odcinek to Sataniw-Gusjatin, marne 30 km jak się dowiedzieliśmy. Ekipa schodzi na wodę. Widać lekkie zniecierpliwie, wiosła już czekają gotowe do ataku i POSZLI!!! A ja zostałam na brzegu...



Żal jednak lekki we mnie był, wypiliśmy kawę z sąsiadami z Tarnopola, porozmawiałam o Euro, Julii Tymoszenko i ruszyłam. To był ciekawy dzień, jechałam kilkadziesiąt kilometrów pół dnia, bo widząc te dziury, gubiąc drogę conajmniej 2 razy nie miałam odwagi jechać szybciej.

W końcu docieram do Gusjatina, nerwowe szukanie biwaku, widzę Akropol, ale postanawiam szukać dalej. Nie udało się, kierowano mnie w dziwne miejsca, gdzie oczywistym było, że ja jako kierowca Zygobusa nie dam rady.



Ląduję koło Akropolu wcześniej zakupiwszy zapasy na wieczór, zasiadam nad rzeką, otwieram trunek chmielowy i się odprężam. Nie na długo jednak, bo przecież nie brałam wody! W stresie ruszam i znajduję studnię w oddali nie zauważywszy, że mamy jedną bliżej obozowiska. I tak oto nauczyłam się obsługiwać studnię.



I czekam na nich, czekam, a ich nie ma. I nagle słyszę Zygmunta i Anię. Okazało się, że Drużynia przepłynęła jakieś 15 km po zwałkowej rzece i umęczeni padli na brzeg, gdzie na szczęście bądź nieszczęście zapoznali pewnego Ukraińca z samogonem. Zyga z Anią ruszyli z odsieczą po Zygozusa.



I wszyscy pojawili się w końcu na biwaku w glorii chwały. I już żaden etap spływu nie był im straszny ☺

Musieliśmy zrobić sobie dzień przerwy, który wykorzystaliśmy godnie na pętanie się po mieście, leżenie przed namiotem, granie w badmingtona, kąpanie w rzece i inne przyjemności, jak poznanie ludzi...



Bawienie się we własnym kajakowym towarzystwie...



Następnego dnia czekał nas skrócony etap do Skałki Podolskiej. Gdy tam dopłynęliśmy przekonałam się, że uroda tego miejsca poraża.

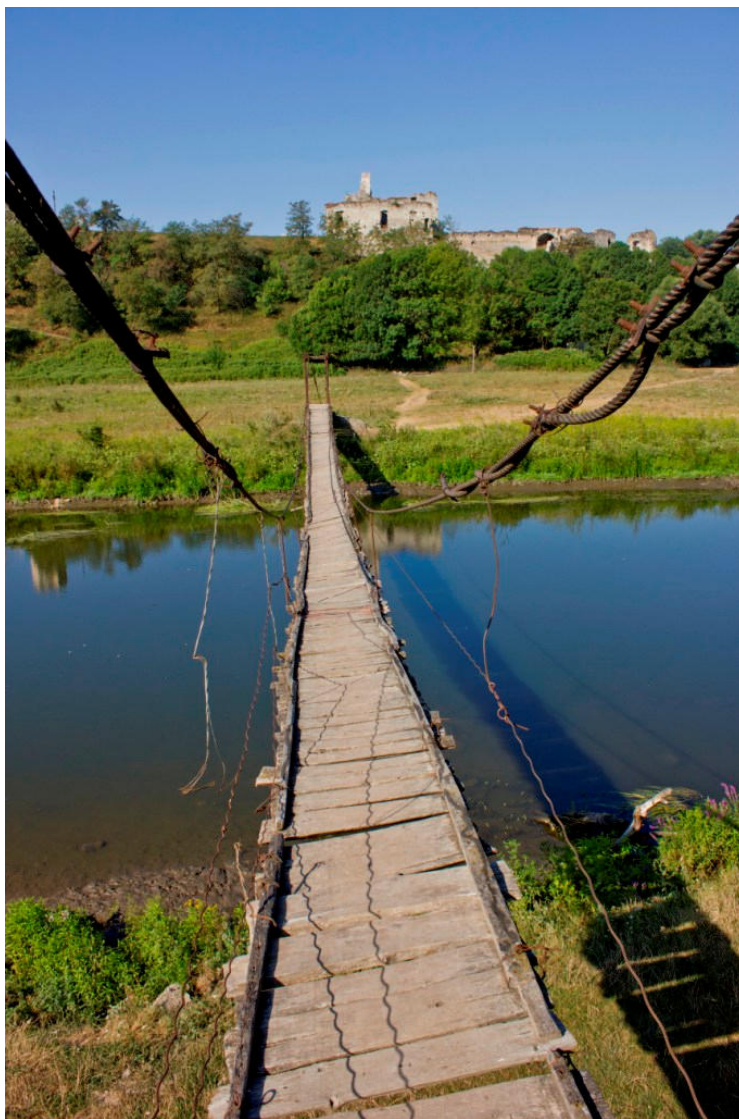


Szybkie rozbicie namiotów, kolacja i już ognisko gotowe. Piękna noc, rozgwieżdżone niebo, ognisko oświetla noc i nagle z tej nocy pojawia się ukraińska piękność w obcisłych dzinsach i jakże białym biustonoszu i nie ma nic na sobie poza tym... Za nią pojawia się niestety nie aż tak piękny młodzian. Oboje w stanie dość dużej nirwany...

Piękna dziewczyna okazuje się ma imię serialowe... Xenia... A młodzian to Rusłan. I co najbardziej interesujące szczególnie zależy mi, aby swój numer telefonu dać Mateuszowi. Hmm, nie komentujemy i nie wiemy, jak się tak historia skończyła. Mateusz się nam nie zwierzył w tym temacie ;) Udaje, że numer telefonu zgubił ☺

W trakcie spływu okazało się, że wielokrotnie byliśmy w sytuacji mocno nieracjonalnej... Niestety brak zdjęć... Zajęci byliśmy ☺ nie było czasu na robienie fotek.





Następny etap to 35 km do Zalisiji i ten dzień nas jednak zaskakuje, etap nie wydawał się aż tak wymagający, a na sam koniec niektórzy (głównie ja) ledwo dopłynęli. Dlaczego ta trasa wydawała się, aż tak długa...

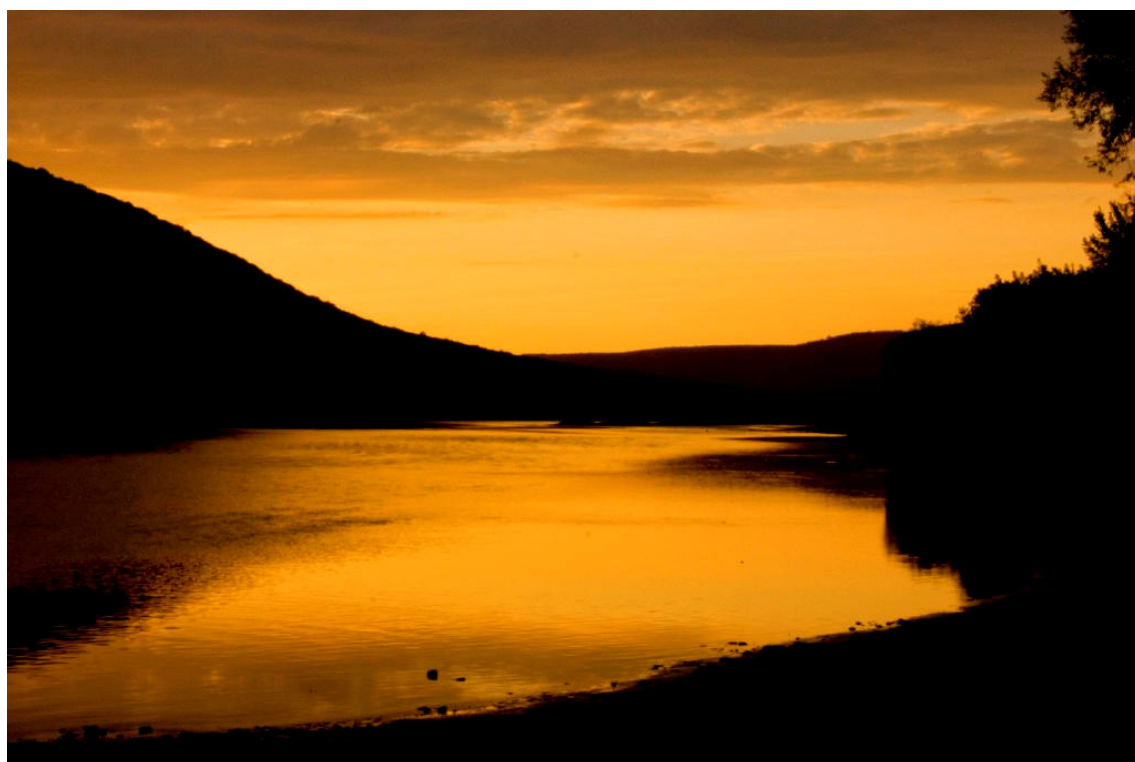


Wiedzieliśmy, że czeka nas nocleg przy moście drogowym, mapa jednoznacznie wskazywała, że ma to być most drogowy. Hmm, a widzimy kładkę a'la Indiania Jones. Niektórzy nie wierzyli i tak oto Mateusz przegrał flaszkę w zakładzie z Zygmuntem. To, że na mapie jest tak, nie znaczy, że w rzeczywistości ma być tak samo. Flaszka się nie zmarnowała ☺



Czy te poprzednie mosty to też były mosty drogowe???

Następny dzień to tranzyt do Usteczka. Sama nazwa nas zachwyciła, a co dopiero ten widok. Piękny wieczór z jeszcze piękniejszym zachodem słońca.



Spacer do Czerwonego Gorodu następnego dnia także zachwycił.



Mieliśmy okazję odkryć pięknie miejsca przedzierając się przez rzeki i lasy, Zygmunt miał okazję pokłócić się z lekka z ekipą kajakarzy z Polski (sic!), którą spotkaliśmy na drodze, Marian zaprezentował swoją wiedzę geologiczną, a Boguś nie opuścił okazji zagrania w warcaby, bo na wzgórzu ruin pałacu mamy ośrodek kolonijny, który tętni życiem.



A piękna dziewczynka obserwowała...



I wtedy skończyło się nasze szczęście pogodowe i rozpoczęliśmy drugi tydzień wiatru, deszczu i zastanawiania się, kiedy przestanie padać... Odczynialiśmy uroki na ile to możliwe...



I tak oto dotarliśmy do już wcześniej wspomnianych Zaleszczyków, gdzie spędziliśmy 2 dni, bo niestety aura drugiego tygodnia nas nie rozpieszczała. Wiało, lało, chmurzyło, podwiewało. Działo się. Ale Zaleszczyki się nami zaopiekowały, tak jakby chciały nam pokazać swoje dawne oblicze.

Następny etap to piękny odcinek z Dobrowlanów do Ustji w chmurach, deszczu, podmuchach wiatru. Piękny dzień, którego aż prosiło się ciągłe cykanie zdjęć. Ja zdjęcia także robiłam, w tym momencie proszę Was Czytelników o sekundę ciszy nad moim świętej pamięci aparatem, który został mi podstępnie skradziony w Kamieńcu Podolskim. RIP.



Romantika wyczekała z każdego zakrętu...



Dzień zakończyliśmy na biwaku wedle krzyża z namiotami rozbitymi w hongkongskim stylu. Niestety tak wiało, że nie byliśmy w stanie nawet siedzieć tradycyjnie wieczorem.



A rano powitał nas deszcz i wiatr. I kolejna przerwa w płynięciu. I co zrobiliśmy? Hmm, to co należy czynić w takiej sytuacji. A poza tym poszliśmy sobie radośnie parę kilometrów do sklepu.



W sklepie tradycyjnie zastaliśmy liczydło obok kalkulatora, radosny/nieradosny bałagan (do końca nie rozpoznałam humoru tego bałaganu), panią sklepową mówiącą biegle po włosku, dwie łóża dla VIPów za zasłonkami, gdzie można dobijać interesów, a my... A my skromnie zasiedliśmy na ławkach pośrodku sklepu z piwkiem w jednej dłoni i waflem w drugiej. Nie miałam trzeciej dłoni, ale to mi nie przeszkadzało zajadać się wędzoną rybą także 😊

A wracając postanowiliśmy odwiedzić jeszcze jeden sklep spożywczy, gdzie pani sklepową namówiła nas na to, żebyśmy porozmawiali z nią po angielsku, bo nie ma z kim rozmawiać. I tak oto odbyliśmy typowy small-talk na ukraińskiej wsi. I nawet proponowano nam nocleg, jeśli nas pogoda dobije. Nie skorzystaliśmy, bo nas pogoda nigdy nie dobija! Było tradycyjne napełnianie baniaków wodą ze studni, ładowanie komórek u sąsiadów etc.





Wstajemy rano i na rzekę. Wieje, zacina, nie poddajemy się. Na samym końcu ja z Anią ledwo dając radę. Dziękuję za opiekę na rzece, bo w pewnym momencie będąc kompletnie na wodzie zaczęłam się zastanawiać, co by się stało, gdyby się coś stało. Jednak Dniestr onieśmiela swoim ogromem, falami, wzgórzami. Onieśmiela potęgą surowej przyrody i daje poczuć, że człowiek jest zaledwie pyłkiem w kontakcie z wielką niewiadomą.







Na popasie niektórzy musieli odpocząć, naciągnąć zmęczone mięśnie...



Wspólny odpoczynek vel popas ;) zawsze w cenie...



Mamy dopłynąć do Dźwinogrodu, ale lądujemy jednak szybciej. Czyli nie zrobiliśmy 40 km, a jakieś 36. uffff. Okazuje się, że Michał z Kariną spędzili szaleńcze popołudnie szukając miejsca biwakowego, 3 razy musieli przyczepkę odczepiać, byli przez miejscowych kierowani w miejsca, w które Zygobus w żaden sposób nie miał szans zjechać, a jeszcze bardziej wjechać z powrotem. Bo jednak deszcze spowodowały, że wiele dróg jest dla nas niedostępnych. W końcu pomaga im miejscowy facet. Znajdują dobre miejsce i czekają na nas. A my płyniemy i płyniemy.

Co ciekawe na sam koniec tracę swoje krzeselko turystyczne, które zostaje „porwane” przez Dobrego Samarytanina, a ja dzięki temu zostaję właścicielem krzesła michałowego, który jest o klasę wyższy niż moje. Mam nadzieję, że moje krzeselko będzie dobrze służyło nad Dniestrem....

I już ostatni dzień płynięcia, marne 24 km. I na Chocim ruszamy! I mkniemy po Dniestrze z wiatrem dzięki bogu.



Piękny dzień, a rano nie wiedzieliśmy co robić, bo znowu padało. I nic nie wskazywało, że przestanie. Jednak decyzja właściwa została podjęta, spakowaliśmy mokre namioty i na rzekę.



I było wspaniale, a widok Chocimia z rzeki na długo pozostanie w naszej pamięci. Niestety w mej pamięci szczególnie, bo me fotki już służą komuś innemu, jako i mój aparat. Ale inni focili się na potęgę ☺





Ostatni biwak nad Dniestrem w słońcu. Jesteśmy zaskoczeni...



I to już koniec, czeka nas zwiedzanie Chocimia



Kamieńca Podolskiego



I do Lwowa, gdzie zachwyty mieszał się z zaskoczeniem, a Romantika była z nami na każdym kroku, a Boguś grał w szachy ponoć z mistrzem Lwowa.



Nawet Zygodbus ma romantycznie zdjęcie. Moim zdaniem czeka na miłość. Wciąż...Z nadzieją w swym sercu... Ale na razie to chyba myślał, jak pojedzie po tej kostce brukowej pamiętającej jeszcze czasy II Rzeczypospolitej.



A my spacerowaliśmy...Spotkaliśmy Panie z Epoki...



Nowe przystanki, chyba na Euro. Nie wiem, czy Pan wąsa na Euro zapuścił.



Wspięliśmy się także na wieżę ratuszową



Aby zaraz odnaleźć Romantikę w lwowskich zaułkach







I to już był koniec naszej wyprawy.

Wymęczeni wracaliśmy przez upalną Polskę, mając nadzieję że Romantika powróciła razem z nami.

